MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 42. (41 skonfiskowany) WARSZAWA, 30 SIERPNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

KRYZYS GOSPODARCZY W POLSCE

ZIEMIE polskie, jak wiadomo, przedstawiają pewną całość gospodarczą, uzupełniając się wzajemnie oraz wyodrębniając się od sąsiadujących z niemi organizmów gospodarczych. Jednakowoż 150 lat bytowania w granicach odrębnych jednostek gospodarczych osłabiło naturalną jedność polskiego gospodarstwa narodowego i uczyniło koniecznem prowadzenie celowej polityki, którąby usunęła te niedomagania, jakie były wynikiem rozbiorów. Ta polityka była tem konieczniejsza, że po wojnie coraz to silniej zaczęły się w gospodarstwie światowem przejawiać tendencje, zmierzające do samowystarczalności poszczególnych organizmów gospodarczych, a więc do zmniejszenia obrotów międzynarodowych, czego jedną z przyczyn była coraz to silniejsza konkurencja na rynkach światowych. W tych warunkach najpoważniejszemi zagadnieniami, domagającemi się rozwiązania, były zagadnienia tego rodzaju, jak sprawa przemysłu przetwórczego, a przedewszystkiem przemysłu włókienniczego w Kongresówce, uzależnionego od amerykańskiego surowca oraz od rosyjskich rynków zbytu, sprawa rolnictwa ziem zachodnich, a przedewszystkiem tamtejszej produkcji zbożowej i przemysłu rolniczego, które się rozwinęły w ramach gospodarstwa niemieckiego, sprawa ciężkiego przemysłu górnośląskiego, będącego pod całkowitym wpływem Niemiec, sprawa naszego przemysłu węglowego w znacznym stopniu zależnego od rynku światowego, sprawy małopolskiej produkcji hodowlanej, skazanej na eksport, wpływ banków wiedeńskich w tejże Małopolsce, zagadnienie organizacji handlu, jako czynnika zjednoczenia gospodarczego, zagadnienie komunikacji, którąby była czynnikiem spajającym, a nie rozbijającym, jak dotychczas, jedność gospodarczą i wiele tym podobnych zagadnień.

Oczywiście w ciągu ubiegłych lat 12 sporo rzeczy w tej dziedzinie zostało dokonanych, co przeważnie było wynikiem samego faktu zjednoczenia ziem polskich. Jednakowoż dorobek w tej dziedzinie jest zbyt szczupły, co jest przedewszystkiem wynikiem tego, że polityka gospodarcza nie postawiła sobie zjednoczenia gospodarczego, jako swego naczelnego celu. I tu główna część odpowiedzialności spada na rządy, które sprawowały władzę po zamachu majowym. Wtedy bowiem był jedyny okres, w którym prowadzenie tego rodzaju polityki było możliwe na szerszą skalę. System pomajowy, otrzymawszy w spadku ledwie ustaloną równowagę budżetową, korzystający z bardzo pomyślnej konjunktury, mogący obliczać swe istnienie na lata, a nie na miesiące — miał wszelkie przedmiotowe dane, pozwalające na prowadzenie tego rodzaju polityki, nie miał jednak danych podmiotowych, nie rozumiejąc naszych stosunków gospodarczych i nieposiadając programu gospodarczego. I dlatego, gdy po latach tłustych przyszły lata chude, zastały one polskie gospodarstwo narodowe tak samo nie przygotowane do odporu, jak w okresie, który poprzedzał pomyślną konjunkturę.

A niepomyślny zwrot, jak już o tem mówiliśmy wyżej, przyszedł od strony rolnictwa. W połowie 1928 r. nastąpiło załamanie się cen zboża na rynkach światowych, wywołane nadprodukcją. Pod wpływem tego zjawiska nastąpił spadek cen zboża w Polsce, później zaś również spadek cen produktów hodowlanych. Skutkiem tego rodzaju ukształtowania się cen było osłabienie zdolności nabywczej ludności rolniczej, a w dalszej konsekwencji całego społeczeństwa. Sytuacja uległa pogorszeniu na skutek bezplanowej polityki, mającej zaradzić złu. Przedewszystkiem zaczęto stosować premje wywozowe w stosunku do zbóż. Polityka ta jednak nie zdołała podtrzymać cen zboża na odpowiedniej wysokości, przedewszystkiem dlatego, że Państwo nie rozporządzało dostatecznemi środkami,

któreby mogło na ten cel przeznaczyć. Usiłowano również szukać rozwiązania sprawy na drodze porozumień międzynarodowych. Zapomniano jednak o rzeczy najważniejszej, a mianowicie o konieczności uniezależnienia się od wpływów gospodarstwa światowego, dotkniętego ciężkim przewlekłym kryzysem, nierokującym nadziei na szybką jego likwidację, uniezależnienia się przez takie przekształcenie rolnictwa polskiego, któreby go dostowało do potrzeb i celów polskiego gospodarstwa narodowego.

Również nie pomyślano o tem, by drogą reformy podatkowej zmniejszyć ciężary, ponoszone na rzecz związków publiczno-prawnych przez społeczeństwo, w szczególności zaś przez rolnictwo, którego zdolność płatnicza na skutek spadku cen zmniejszyła się, jak wiadomo, wydatnie. To zagadnienie miało tem większe znaczenie, że społeczeństwo polskie, było pod tym względem w gorszym o wiele położeniu niż przed wojną. Obciążenie na rzecz samego państwa było w roku 1930 prawie dwukrotnie wyższe, niż przed wojną. Do tego trzeba dodać również bardzo znaczne zwiększenie się obciążenia na rzecz zakładów ubezpieczeń społecznych oraz samorządu terytorjalnego. Również jeśli porównać ciężary, ponoszone przez społeczeństwo polskie z odpowiedniemi ciężarami, ponoszonemi przez społeczeństwa inne, oczywiście w stosunku do dochodu narodowego każdego z tych społeczeństw, trzeba dojść do wniosku, że ciężary, ponoszone przez społeczeństwo polskie w latach 1928 — 1929 były stosunkowo największe. Stan ten został wywołany niepomiernem zwiększeniem budżetu państwowego, a również budżetów innych związków publiczno-prawnych, co z kolei pochodziło z nieopatrznej gospodarki rządu. Takie obciążenie społeczeństwa, połączone ze złym stanem podatkowym u nas istniejącym, nie pozwala na tworzenie się nowych kapitałów drogą oszczędności, co było również jedną z przyczyn kryzysu. Powolne bowiem tworzenie się nowych kapitałów było prawdziwą klęską w kraju tak skromnie uposażonym w kapitały jak Polska, zwłaszcza w okresie powojennym, gdy znaczna część naszego majątku narodowego została zniszczona przez wojnę i następującą po niej inflację, a zmienione warunki gospodarcze i polityczne wymagały dla normalnego rozwoju większych niż zwykle ilości kapitału.

Ale przyczyną, osłabiającą tempo tworzenia się kapitałów, był nie tylko fakt, że państwo zabierało na rzecz swoją oraz innych związków publiczno-prawnych znaczną część dochodu obywateli. Pochodziło to również stąd, że działalność państwa rozszerzyła się znacznie w stosunku do zakresu przedwojennego. Nie należy uważać działalności państwa w zakresie gospodarczym za rzecz w zasadzie szkodliwą. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że zwiększenie zakresu działania państwa zmniejsza zakres swobodnego działania obywateli, zmniejsza przeto ich dochód, a w rezultacie i zaoszczędzoną część dochodu, t. zn. poprostu oszczędności. Państwo zaś w zasadzie nie jest dobrym twórcą nowych kapitałów w społeczeństwie, a jeśli je tworzy, to w znacznym stopniu zużywa na cele z punktu widzenia gospodarczego nieprodukcyjne lub mało produkcyjne. Nie należy więc bez istotnej potrzeby zwiększać zakresu działania państwa w dziedzinie gospodarczej. Zwiększanie zaś tego zakresu działania w okresie pomajowym znacznie przekraczało granice istotnych potrzeb politycznych i gospodarczych, a pochodziło z dążenia rządu do zupełnego uzależnienia od siebie społeczeństwa. Było to tem szkodliwsze, że jednocześnie postępowanie władz administracyjnych, nacechowane daleko idącym biurokratyzmem oraz nieposzanowaniem obowiązujących przepisów, jeszcze bardziej ograniczało swobodną działalność obywateli, o wiele jeszcze bardziej, niż to wynikało z rozszerzania się działalności samego państwa.

Brak kapitałów krajowych, zahamowanie tempa tworzenia się kapitałów krajowych, z powodów, o których była mowa wyżej, wreszcie nikły dopływ kapitałów obcych, który zresztą nie może całkowicie zastąpić tworzenia się kapitałów własnych, wszystkie te przyczyny wpłynęły na zły stan stosunków kredytowych, wyrażający się przedewszystkiem w wysokiej stopie procentowej, zabójczej dla rozwoju normalnych stosunków gospodarczych, a wynikające stąd stosunki kredytowe stały się z kolei rzeczy jedną z przyczyn kryzysu. Stosunki te przedstawiały się wprost fatalnie, jeśli chodzi o kredyt rolniczy, gdyż rolnictwo, jako gałęź produkcji o stosunkowo niższej dochodowości, jest w większym stopniu zainteresowane w kredycie o niższej stopie procentowej, zaś spadek zdolności płatniczej rolnictwa powiększył jeszcze bardziej i tak już wysoki ciężar zadłużenia, często zresztą nieopatrznie zaciąganego. Stosunki w dziedzinie kredytowej pogarszał jeszcze fakt, że posiadane oszczędności nie zawsze były racjonalnie zużywane. Brakło bowiem również w tej dziedzinie programu zmierzającego do przekształcenia naszego życia gospodarczego na jednolite gospodarstwo narodowe i nakazującego używania posiadanych choćby skromnych oszczędności na osiągnięcie właśnie tego celu.

W ciągu r. 1930 sytuacja gospodarcza w Polsce uległa dalszemu pogorszeniu również na skutek rozwijającego się kryzysu światowego, którego wpływ przejawił się w Polsce w trudnościach eksportowych dla towarów polskich oraz w spadku cen na pozostałe poza produktami rolnemi towary. I tu odpowiedzi, jeśli chodzi o trudności eksportowe znowu nie było właściwie. Zamiast pójść po drodze może powolnego rozszerzania rynku wewnętrznego, polityka nasza w większym niż dotychczas stopniu zaczęła sztucznemi, bardzo kosztownemi środkami popierać nasz eksport. Zwiększało to jeszcze bardziej obciążenie społeczeństwa i pozbawiało go i tak szczupłych kapitałów własnych, było jednem słowem gospodarką rabunkową, mogącą w najlepszym razie dać jedynie chwilową ulgę, ale nie rozwiązującą istoty zagadnienia.

Na smutną, bardzo smutną sytuację gospodarczą złożył się, jak widzimy, cały szereg najrozmaitszych przyczyn, o których mówiliśmy wyżej, a więc przedewszystkiem brak całkowitego dostosowania się poszczególnych części życia gospodarczego i przekształcenia się go na jednolite i zdrowe gospodarstwo narodowe, a dalej światowy kryzys rolniczy,

który objął również rolnictwo polskie, nadmierne obciążenie społeczeństwa na rzecz związków publiczno-prawnych, etatyzm i biurokratyczny stosunek do życia gospodarczego, nieuregulowane stosunki kredytowe oraz zanik zaufania w możliwość poprawy.

Tymczasem sytuacja w Polsce nie przedstawia się bynajmniej tak rozpaczliwie. Przewlekły, a niezwykle ciężki kryzys, jaki dotknął wielkie kraje przemysłowe wpływa na nasze stosunki tylko pośrednio. Jesteśmy pod szeregiem względów w sytuacji lepszej od szeregu najpotężniejszych pod względem gospodarczym krajów do tych względów przedewszystkiem zaliczyć należy taniego, a zdolnego robotnika, oraz duże możliwości powiększenia konsumpcji wewnętrznej. Mamy jednocześnie bardzo duże bogactwa naturalne. Przedewszystkiem zaś społeczeństwo nasze, mimo szeregu wad i słabości w gruncie rzeczy jest zdrowe, o wiele mniej dotknięte niż społeczeństwa zachodnie zgubnym wpływem ideologji komfortu, właściwej wiekowi XIX-mu. Brak nam coprawda kapitału, ale temu zaradzić może celowa, odpowiednio prowadzona polityka gospodarcza. Możemy więc i to nie w tak długim czasie nie tylko zahamować dzisiejszy kryzys, ale doprowadzić Polskę do potęgi gospodarczej. Koniecznym jednak warunkiem jest to, by wreszcie zacząć myśleć poważnie nad poprawą sytuacji gospodarczej, by stworzyć i realizować program, któryby się nie ograniczał do zwalczania tych, czy innych zewnętrznych objawów, ale postarał się usunąć istotne przyczyny, któryby z Polski usiłował uczynić zdrowy organizm gospodarczy i uniezależnić go od zgubnych w tej chwili wpływów gospodarstwa światowego, cierpiącego na chroniczną chorobę.

J. PRUS

PRÓBY TWORZENIA RZĄDU W LISTOPADZIE 1918

(Dokończenie)

DLA ludzi przybywających z Warszawy, gdzie jeszcze panoszyła się władza zagrożonego ostateczną klęską okupanta, wjazd do Krakowa był źródłem wielu głębokich i radosnych wzruszeń. Po raz pierwszy w życiu wjeżdżaliśmy do miasta całkowicie uwolnionego od przemocy obcej i znajdującego się pod władzą polską. Od 30-go października rządy nad całą b. Galicją objęła Polska Komisja Likwidacyjna, złożona z 23 posłów b. Koła Polskiego, komendę zaś nad wojskiem twierdzy krakowskiej sprawował generał Roja. Na tem jednak kończyły się podniosłe wrażenia, ustępując miejsca innym, bardziej bijącym w oczy, w postaci nędzy, głodu i niedoli, pozostawionych miastu w spuściźnie przez uciekającego wroga. Przelewające się przez Kraków fale zdemobilizowanych żołnierzy stanowiły poważną grozę dla życia i mienia ludności, ponure wieści z kraju, jak odezwa rewolucyjna rządu lubelskiego lub komunikaty o rozpaczliwej obronie Lwowa przed zamachem ukraińców potęgowały jeszcze nastroje niepokoju i zdenerwowania, w jakich żyli wszyscy mieszkańcy miasta. W tej atmosferze wciąż nowych i przeważnie niepomyślnych wieści odbywały się obrady Komisji Likwidacyjnej, do której udaliśmy się zaraz po przyjeździe w nadziei, że w tym zespole polityków będziemy mogli rozpocząć rokowania w celu utworzenia rządu. Niestety doznaliśmy pod tym względem zupełnego zawodu. Mianowicie w nieobecności p. Witosa, który wtedy właśnie bawił w Lublinie, wszyscy jego koledzy polityczni uchylali się nie tylko od petraktacyj, ale i od nieobowiązujących rozmów. Dość dziwna dla nas wstrzemięźliwość piastowców wynikała być może z braku informacyj o ostatecznem ustosunkowaniu się ich prezesa do rządów lubelskich, niemniej jednak świadczyła o przemożnej roli, jaką leader Piasta odgrywał w swem stronnictwie, w którem, wyrażając się językiem współczesnym, był wówczas w całem słowa tego znaczeniu „figurą centralną“. W tym stanie rzeczy, lubo sprawa utworzenia rządu była nader pilna, byliśmy zmuszeni zrezygnować z rokowań i czekać cierpliwie na powrót p. Witosa do Krakowa: Skutkiem tego cały następny dzień spędziliśmy bezczynnie, przysłuchując się w charakterze gości, burzliwym obradom Komisji Likwidacyjnej i czerpiąc z tego źródła wiadomości o losach i czynach p. Witosa. Stopniowo dowiadywaliśmy się, że wyjechał z Lublina, odmówiwszy udziału w rządzie lubelskim, że jedzie do Krakowa, potem że zboczył do Wierzchosławic i dopiero następnego dnia w południe usłyszeliśmy z ust p. burmistrza Tertila radosną i w uroczystym tonie wygłoszoną wieść, że w tej samej chwili grono przyjaciół wsadza p. Witosa do wagonu w Tarnowie. Rzeczywiście w popołudniowych godzinach p. W. stanął w Krakowie, że jednak pierwsze chwile swego pobytu chciał poświęcić swym kolegom politycznym, więc spotkaliśmy się z nim dopiero wieczorem na posiedzeniu, zwołanem w lokalu redakcji czasopisma Piast. Ponieważ p. Głąbiński, mając następnego dnia jakieś ważne zebranie w Warszawie nie doczekał powrotu p. Witosa i wyjechał z Krakowa, więc w zebraniu poza członkami delegacji warszawskiej i piastowcami brało udział jeszcze kilku krakowskich przedstawicieli stronnictw, zgrupowanych w Kole Międzypartyjnem.

Posiedzenie rozpoczęło się od wysłuchania relacji p. Witosa o wypadkach lubelskich, o charakterze i działaniach rządu, wreszcie o powodach, dla których p. W. nie przyjął ofiarowanej mu ministerjalnej teki. Oczywiście dziś już nie pamiętam szczegółów tego referatu, utkwił mi jednak w pamięci jeden fakt na pozór drugorzędny, lecz niezmiernie charakterystyczny. Oto, gdy p. Witos w dniu utworzenia rządu lubelskiego jechał

do Lublina zadziwiła go wielka ilość furmanek chłopskich, jadących z widocznym pośpiechem w przeciwną stronę. Gdy na jakimś postoju zapytał o przyczyny tego popłochu, otrzymał odpowiedź, iż uciekają z Lublina „bo tam Polaki robią jakieś powstanie". Ten drobny epizod był niejako potwierdzeniem wielkiej życiowej prawdy, że psyche ludowa ma inne oblicze w codziennej rzeczywistości, a inne w fantazji polityków, którzy jakoby w imieniu tego ludu tworzą rządy włościańskie i robotnicze.

W ciągu dalszych obrad nad głównym tematem naszego zebrania wzmocniło i utrwaliło się w nas wrażenie absolutnej przewagi prezesa stronnictwa nad jego członkami. Pomimo, że w posiedzeniu brali udział przedstawiciele inteligencji stronnictwa, a nie brakło nawet i hrabiowskiego tytułu, to przecież wszyscy słuchali, jak wyroczni swego prezesa, w niczem nie przeciwstawiając się jego poglądom. Inicjatywa ich ograniczyła się jedynie do wniosku, postawionego w toku dyskusji nad składem przyszłego rządu narodowego i dążącego do oddania steru rządu w ręce p. Witosa. Nad tym wnioskiem rozwinęła się długa dyskusja, w której piastowcy jednomyślnie popierali swą kandydaturę, a reszta zebranych, być może w mniej zwartym froncie, wypowiadała swoje zastrzeżenia. Obrady przeciągały się bez konkretnych wyników, gdy nagle do lokalu redakcji wpadł generał Roja, zaklinając w gorących słowach zebranych, aby jaknajprędzej doszli do porozumienia, a nawet *stante pede* ogłosili rząd, gdyż on otrzymuje już od rządu lubelskiego różne rozkazy, które, wobec braku innego ukonstytuowanego rządu, byłby zmuszony wykonać. Interwencja generała nadała żywsze tempo dyskusji, wzmacniając znacznie nastroje, przychylne prezydenturze p. Witosa wraz z uznaniem konieczności natychmiastowego utworzenia rządu. Tymczasem, mojem zdaniem, żadna z tych decyzyj nie mogła być natychmiast powzięta. Odnośnie prezydentury p. Witosa to, jak wyżej wspomniałem, byłem związany zastrzeżeniami regentów, które całkowicie podzielałem, utworzenie zaś rządu zaraz na naszem zebraniu uważałem również za niemożliwe. Po pierwsze dlatego, że regenci, składając zobowiązanie przekazania swej władzy nowoutworzonemu rządowi byli bądź co bądź stroną kontraktującą, którą co najmniej trzeba było uprzednio poinformować w czyje ręce mają swą władzę złożyć. Po drugie większość projektowanych członków rządu znajdowała się pod Krakowem, trudno więc było choćby bez telegraficznego uzyskania zgody umieszczać ich na liście ministrów. Wobec tego proponowałem odłożenie obrad do następnego dnia w celu porozumienia się zarówno z regentami jak i z kandydatami na ministrów. Atoli nastrój zebrania był już tak nerwowy i podniecony, że ulegli mu nawet niektórzy przedstawiciele Koła Międzypartyjnego, skutkiem czego poważna większość głosów wypowiedziała się za natychmiastowem utworzeniem rządu i wydaniem odezwy do narodu. Była już godzina blisko pierwsza po północy, a w myśl uchwał zebrania odezwa nowego rządu miała być rano rozplakatowana na murach Krakowa. Pamiętam, jak redaktor Piasta, a późniejszy poseł do Sejmu Ustawodawczego, Rączkowski wydobył duży arkusz papieru, kreśląc na nim pierwsze słowa odezwy. Pamiętam również, że stałem obok niego, zastanawiając się, co wypada nam w tej sytuacji zrobić? Czy zgłosić natychmiast *votum separatum*, czy protestować publicznie po ogłoszeniu odezwy czy też oświadczyć, że złożone na moje ręce zobowiązanie Rady regencyjnej traci swą moc i że skutkiem tego nie może być zacytowane w odezwie? Wszystkie te pomysły przelatywały mi przez głowę, gdy w tem przyszedł nam sukurs ze strony, z której najmniej mogliśmy się go spodziewać. Bo oto z grupy piastowców, skupionych około p. Witosa odezwał się nagle głos (mam wrażenie, iż był to bodaj głos samego p. Witosa), stwierdzający, że pora jest spóźniona, więc już ostatni czas, abyśmy poszli na kolację, bo niedługo restauracje będą zamknięte. Wniosek ten bądź co bądź odraczający ostateczną decyzję został skwapliwie przez paru z nas poparty. Przytem najbardziej zadziwił mnie fakt, że i w grupie piastowców, przed chwilą tak entuzjazmujących się do natychmiastowego wydania odezwy nie wywołał on żadnego słowa protestu.

Niebawem znaleźliśmy się wszyscy razem w restauracyi hotelu Saskiego, zajadając coś w rodzaju chleba z ochłapami również wojennej wędliny. Rozmowa przeszła na inne tory, a że piastowcy sprawy rządu nie poruszali, więc i delegaci warszawscy, przeciwni w zasadzie prezydenturze p. Witosa nie mieli żadnego interesu powracać do tej drażliwej materji. W ten sposób — trzeba przyznać dość zagadkowy — rozchwiały się nasze krakowskie narady. Zastanawiając się później nad tym zgoła niespodziewanym obrotem rzeczy, miałem wrażenie, że w chwili, gdy zaczęto redagować odezwę, nadszedł moment zimnej refleksji, uświadamiającej przyszłemu prezydentowi rady ministrów wiele negatywnych stron zbyt nagłej decyzji. Istotnie nie było wcale łatwem zadaniem przewodniczyć rządowi, w którym większość ministrów, skutkiem swej nieobecności mogła albo mandatów nie przyjąć albo robić zastrzeżenia co do odezwy. Bądź co bądź rząd lubelski był już ogłoszony, a spodziewany lada chwila przyjazd brygadjera Piłsudskiego pozwalał przypuszczać, że jego sympatje pójdą raczej w kierunku tego rządu. Wszystko to razem wytwarzało sytuację niejasną, w której przyjęcie przewodnictwa było krokiem ryzykownym i nie rokującym powodzenia. Prawdopodobnie obawy te musiały w ostatniej chwili zaważyć na szali decyzyj p. Witosa, powodując milczące wycofanie się z całej imprezy.

Tymczasem delegaci koła Międzypartyjnego, widząc, że dalsze pertraktacje do żadnego pozytywnego rezultatu nie doprowadzą i uznając tem samem swą misję za skończoną, po kilku godzinach snu, bardzo wczesnym rankiem dnia 10 go listopada opuścili Kraków. Ponieważ podróżowanie koleją nie dawało w tych czasach żadnej pewności przybycia na miejsce przeznaczenia, wyjechaliśmy więc samochodem wojskowym, udzielonym nam przez generała Roję pod ochroną uzbrojonego żołnierza, a to ze względu na alarmujące wiadomości o rozruchach, wywołanych w miasteczkach galicyjskich przez zdemobilizowanych żołnierzy. Może skutkiem tego, że przejechaliśmy te miasteczka jeszcze o zmroku nie byliśmy po drodze przez nikogo zatrzymani i koło 10-tej rano stanęliśmy w Dąbrowie Górniczej. Ponieważ stacja kolei leżała po stronie okupacji niemieckiej, więc odprawiwszy samochód przeszliśmy piechotą przez posterunek graniczny, legitymując się *pasierscheinami*, *entlanungscheinami* i innemi dokumentami, stanowiącemi wykwit systemu okupacyj-

nego. Tu znowu biła w oczy różnica pomiędzy dwoma okupacjami. Przejeżdżając przez część Dąbrowy należącą do b. okupacji austryjackiej widzieliśmy tłumne manifestacje ludności, co prawda nie tyle narodowe, ile socjalistyczne, bo kolor czerwony przeważał, za to po stronie niemieckiej wszystko po staremu. Precyzyjna maszyna funkcjonowała, gdy sam system już walił się w gruzy. Spędziwszy kilka godzin, pozostających nam do odejścia pociągu w gościnie u członka sekretarjatu Koła Międzypartyjnego p. Andzzeja Garbińskiego, dopiero przed północą stanęliśmy w Warszawie. Tu dopiero zobaczyliśmy po raz pierwszy dworzec kolejowy, zupełnie opuszczony przez władze niemieckie. Nikt nas o nic nie pytał, nikt paszportów nie żądał. Przed dworcem stał pluton wojska polskiego, a na ulicach rozlegał się odgłos karabinowych strzałów.

Nazajutrz rano 11-go listopada znaleźliśmy się we dwóch z radcą Marczewskim u regentów na Krakowskiem Przedmieściu, aby zdać im sprawę z krakowskich rokowań. Ponieważ w tym dniu o godz. 3-ej Rada Regencyjna miała odbyć pierwszą rozmowę z brygadjerem Piłsudskim, przeto regenci zaproponowali mi, abym o tej godzinie był w ich rezydencji i przed pertraktacjami z Radą poinformował p. Piłsudskiego o naszych wspólnych zabiegach w celu utworzenia rządu narodowego. Pamiętam, że przed godziną trzecią spotkałem się ze ś. p. Stefanem Bądzyńskim, wybitnym działaczem społecznym i jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich w Polsce znałem. Omawialiśmy fakt przyjazdu brygadjera Piłsudskiego do Polski i obaj wyrażaliśmy nadzieję, że człowiek tak wówczas w kraju popularny ma wszelkie dane po temu, aby w przełomowej chwili skupić cały naród koło swojej osoby i poprowadzić go do wielkich celów. Niestety wkrótce miałem się przekonać, że były to tylko marzenia ściętej głowy.

Przed trzecią oczekiwałem brygadjera Piłsudskiego w jednym z pokojów, prowadzących do gabinetu regentów. Gdy przyjechał, prosiłem go o udzielenie mi paru minut rozmowy i, przedstawiwszy w krótkich słowach przebieg narad krakowskich, zakończyłem życzeniem, aby stworzył rząd złożony z przedstawicieli wszystkich kierunków politycznych i ludzi ze wszystkich dzielnic Polski, którzy wznosząc się ponad waśnie partyjne pracowaliby jedynie dla dobra całego narodu. Brygadjer Piłsudski odpowiedział, że jest to również jego życzeniem, które zresztą jest na drodze do urzeczywistnienia przez fakt utworzenia lubelskiego rządu... Rozmowa była skończona!

MARJAN KINIORSKI

KRAKÓW PRZED TRZYDZIESTU LATY

TUSCULUM SZLACHECKIE

Ordynatowi Edwardowi hr. Krasińskiemu, który w mrocznych czasach niewoli usiłował być zawsze łącznikiem kulturalnym pomiędzy Warszawą a Krakowem.

I [1]).

„JESTEM dobrze urodzony,... gdyż urodziłem się w Krakowie“ — chciał powiedzieć jeden z kandydatów konserwatywnych — pięknoduchów na zebraniu przedwyborczem pod Kapucynami. Nie zdołał jednak wypowiedzieć *pointe*'y swojego frazesu, gdy zagłuszyły go gromkie okrzyki „Hańba!“ „Myśl Narodowa“ nie jest ujeżdżalnią, więc, licząc na subtelność jej czytelników, powtarzam za tym zrzuconym z trybuny Stańczykiem, bez żadnej zgoła obawy: „Jestem dobrze urodzony, gdyż urodziłem się w Krakowie“.

Powiedział niegdyś pięknie nasz Grzymała, co to znaczy Kraków, co znaczy mieć kolebkę w Rynku, w domu jednego z patrycjuszów, gdzie kominki i stropy, gdzie była poczta Montelupich czy stała na kwaterze nie wiem już jaka ambasada wenecka, w domu pod Matką Boską, w domu nabożnie zapisanym w tradycji miasta, skoro na nim zatrzymał się był w roku 1850 słynny pożar. Z okien tego domu rozciągał się jakżeż malowniczy widok na Sukiennice i Pannę Marję, a trąbka hejnału i dzwony Marjackie regulowały takt życia mieszkańców tej dzielnicy.

Do chrztu trzymał mnie Paweł Popiel, świetny prozaik, pisarz polityczny i pamiętnikarz, a wówczas już nestor miejscowego patrycjatu, konserwatyzmu i ziemiaństwa, zasłużony odnowiciel i konserwator zabytków Krakowa. „W drugą parę“ podawał mnie inny *genius loci*, Stanisław Tomkowicz, monografista Wawelu.

W obszernych komnatach staroświeckiego domu, umeblowanych z tym smakiem, który daje tylko prawdziwa kultura, spływało mi dzieciństwo, zaciszne jak w jakiej bajce Andersena, a owiane pięknem, jakie tryska z pomników historji. Czasem tylko zakradałem się z dziecięcej bawialni do zaczarowanego królestwa książek mojego ojca i, ledwo czytać się nauczyłem, zbrojny w egzemplarz „Iljady“, „Odyssei“, „Fausta“ czy Moljera, długie godziny trawiłem na odcyfrowywaniu klasycznych zagadek.

Babka moja, której wychowywać mnie przyszło po przedwczesnej śmierci mojej matki — była żoną ekshumowanego dziś przez historyków literatury Władysława Wężyka, epiptologa i Norwidjanina, — sama osoba wysokiej literackiej kultury, co w Warszawie popowstaniowej piórem przyrabiać musiała na życie, a mnie, jako jedyny łącz-

[1]) *Quel rapport?* — zapytałby Francuz — z głośnymi ostatnio i, jak zawsze, rozreklamowanymi przez pewne sfery artykułami „Boy'a“. Żaden — odpowiem — lub prawie żaden. Rzecz była dawno gotowa (w jesieni r. 1920), a co do „Boy'a“, to wiadomo, jak go cenię. („Na marginesie polemiki z „Boy'em“). Nie półsemicie, nieczułemu na wszystko, co podnosi, uskrzydla, daje rację bytu generacji młodszej, pouczać naród o dawnych jego tradycjach, on tylko łuskać potrafi z pod starej patyny tych murów, co w nich naprawdę pod koniec bywało komicznego czy pokracznego. Ale właśnie ten jego daltonizm, ta jego nieczułość na cały świat podstawowych zagadnień, zaklęty w odwiecznych kamieniach Krakowa, sprawia, że jego „Kraków widziany z knajpy“ winien ulec poważnej rewizji.

nik, jaki jej z tem życiem pozostał, macierzyńską darzyła miłością, przy wieczornej partyjce archaicznego marjasza czy warcabów — bywało — dorzucała do tlejącego ognia wyobraźni dziecinnej nowych zarzewi w postaci tajemniczych opowieści o niewyjaśnionych przyczynach wielkiego pożaru, którego w roku 1850 była świadkiem, a które bardziej już uświadomiona logika małego słuchacza wiązała później z jakąś ofensywą karbonarjuszowską przeciw kościołom Krakowa — lub też z dawniejszych jeszcze tradycyj rodzinnych, zaczerpniętych czy to z romantycznego życia dziadka czy z zamierzchłych — wydawało się malcowi — przygód spokrewniowych z nami rodzin Butlerów i Ossolińskich [1]).

A tymczasem za oknami tych pokojów, które same już w sobie stanowiły udzielne królestwo rojeń dziecięcych, ożywiane jeno w dni świąteczne czarem sławnych procesyj i pochodów czy huczną czeredą rówieśników — snuło się w owych latach życie Krakowa, nie tak już może szumne, jak jeszcze na przełomie lat osiemdziesiątych, ale bardziej skupione, uduchowione i poważne.

Kraków bowiem w tym czasie ze szlacheckiego *Tusculum*, jakiem stał się był po wojnach napoleońskich, kiedy to między innemi sprowadzili się do niego krzeszowiccy Potoccy, a bardziej jeszcze po rozgromie listopadowym, kiedy w „wolnem mieście" skupiła się część emigracji: stare lwy, jak Chłopicki, poeci z Wasilewskim i Polem na czele, konspiratorowie wreszcie w dniach rzezi, „wiosny ludów", powstania styczniowego, — Kraków z rezydencji barańskiej linji Pilawitów, bocznej linji Czartoryskich (z Woli Justowskiej), Lubomirskich z Przeworska czy Sanguszków z Gumnisk, nie licząc okolicznego ziemiaństwa, z Arkadji kuligów i beztroskich rozhoworów, wielbionej piórem Ludwika Dębickiego, a piętnowanej nieraz przez publicystów emigracyjnych, — Kraków jął się stopniowo przekształcać w bardziej dostosowaną do demokratyzującej się, bądź co bądź, epoki „akademję wszelkich scjencji pełną".

I mogę powiedzieć, że, jeżeli w pierwszym okresie młodości mojej więcej stosunkowo dolatywało mnie ech o tem, jak sobie w pałacu pod Baranami poczynała „pani Adamowa" (Potocka) lub każda z czterech jej córek, jak w Krzeszowicach rozstawał się z młodem życiem przyjaciel arcyksięcia Rudolfa, uroczy pan Artur, zaś w balowej sali pałacu krakowskiego hasał młodzik pełen ognia i zapału, potem ofiarą śmierci swojej na bohatera narodowego pasowany pan Andrzej, jeżeli w okresie tym słyszeć jeszcze mogłem dźwięki widmowych niemal ewokacyj Szopena, odtwarzanych ręką uczennicy jego, księżnej Marceliny Czartoryskiej, — to w okresie drugim (mniej więcej od niezapomnianej uroczystości jubileuszowej uniwersytetu krakowskiego w roku 1900) usuwa się to czysto światowe życie coraz bardziej na plan drugi, wymierają lub znikają z niego kolejno różni mniej lub więcej dostojni przybysze, wolniej tętno i powszedniej charakter zabaw karnawałowych, a ośrodek obcowania towarzyskiego, zawsze jeszcze intensywnego, ale wyłączniej teraz, zwłaszcza w okresie pierwszej rewolucji rosyjskiej, intelektualnego, przesuwa się z „pałaców sterczących dumnie" do salonów profesorskich, literackich, a nawet knajp i kabaretów.

II

Ale już i w tym pierwszym okresie czysto intelektualne życie, z którego wyrosłem, wcale żywem pulsowało tętnem. Przyczyniały się do jego rozbudzenia wszystkie te domy, których dobra tradycja szlachecka czy wielkopańska czyniła świadomymi, że *noblesse oblige* nienajmniej — a w naszych specyficznych warunkach bodaj czy nie najwięcej — w kierunku kulturalnym.

Kulturalnemi po swojemu, w dużym nawet stopniu, były „Barany", wierne tradycji politycznej swojego szefa Adama Potockiego, a zasilane wdziękiem osobistym i ogładą światową takich jednostek, jak zięć jego Edward Raczyński, głośny z czasem mecenas sztuki i dziedziczny bibljofil. Centrum kulturalnem był także „Szlak" Stanisława Tarnowskiego, dawna podmiejska willa Montelupich. W sklepionym *hall'u*, który, wedle tradycji, miał być niegdyś *chapelle ardente* czy miejscem postoju dla zwłok królów polskich, przybywających z Warszawy na Wawel, w *hall'u* zdobnym w głowy wyratowane z Izby Poselskiej na Zamku i tam dziś powrócone, w odlewy gipsowe słynnych nagrobków rodzinnych w Tarnowie i w obrazy Matejki, jak piękny portret rektorski hrabiego, zbierali się od czasu do czasu przyjaciele państwa Tarnowskich czy to dla narad redakcyjnych „Czasu" i „Przeglądu Polskiego" czy dla prostej towarzyskiej wymiany myśli.

Można jednak powiedzieć, że, jeżeli nie Gracje, to przynajmniej Muzy chroniły się najchętniej do przybytków mniej etykietalnych — poprostu mówiąc do domów, będących ekwiwalentem miejskim niczego więcej, jak dwory szlacheckie.

Nie sięgam już pamięcią w czasy, kiedy surogatem jednego z takich dworów był dom „delegata" wtedy — Kazimierza Badeniego, Lwowianina z rodu, ale złączonego powinowactwem i przyjaźnią z całym szeregiem domów krakowskich. Pamiętam jak przez mgłę, że w niedzielę, po ostatniej mszy u Panny Marji, chadzało się do niego, do „Pałacu Spiskiego", a wtedy rządowego, na wódkę. Badeni — mimo, że politycznie, przez tradycje krakowskie swojej rodziny i przyjaciół, jak Stanisław Koźmian — zrósł się był z tutejszymi kierunkami i stosunkami, z majątkowej, ziemiańskiej przynależności zachował był jednak wiele z typu kresowego szlachcica włącznie z częstem u tej warstwy w Galicji zamiłowaniem do żydów, które go później w Wiedniu, kiedy został prezydentem ministrów, w erze Luegera, o wiele kłopotów przyprawić miało, podobnie jak wpierw, za rządów jego namiestnikowskich, zarzucano mu z wielu stron, iż Galicję sobie powierzoną chciał traktować po patrjarchalnemu czy raczej patrymonjalnemu, jak własny folwark.

Do domu Badenich chętnie garnęli się ludzie pióra, ale raczej na zasadzie tej filozofji eklektycznej, w której zlewa się doktryna smaku Brillata-Savarina z bardziej podniosłymi aksjomatami Platona. Lepiej o tych czasach i ludziach poinformowany czytelnik zgadłby z góry, że jako chorążego

---

[1]) Nadmieniam tutaj, że te dzieje kronikarskie starego Podlasia, spisane barwnym stylem mojego dziada, przechowały się u mnie w rękopisie i ze wszech miar zasługują na wydanie.

tego cechu mam na myśli zacnego ks. Pawlickiego.

O ile chodzi o typ ściśle intelektualnych domów, to prym w tym względzie należał się domowi Popielów. I znów nie obejmuję pamięcią słynnych „czwartków“ (Paweł Popiel umarł już w r. 1892), w każdym razie, za pośrednictwem rodziny, wiele się o nich nasłuchałem, bo Muza Morawskich specjalnie im towarzyszyła. Mój ojciec piękną łaciną kuchenną obchodził jubileusz starego Popiela:

Popielorum patrem gentis
Fama fert antiqua
Devorare esurientis
Mures vi iniqua.
Acres ubi murium dentes
Mordent hodie curae,
Sed resistunt sapientes
Viri sorti durae.
Ex antiqna dum Cracovia
Tabula fit rasa
Viget pristino splendore
Popielorum casa [1]*).*

Mój stryj znowu, Zdzisław, późniejszy autor „Sacco di Roma“ i „Rawenny“, jeden z uczestników drążkowych owych „czwartków“, jako znacznie młodszy, tworzył na temat przyjęć i bali w kamienicy przy Świętojańskiej, jednej z ozdób tego krakowskiego Faubourg Saint Germain, szereg uciesznych poematów o charakterze krakowiakowym, w których życzliwie sobie dworował z całej kolekcji rarogów szlacheckich, jakie się nagromadziły w tej rodzinie. Arcyrarogiem był sam pan Paweł, w którym — przez filjację Popielów, Badenich i żoniną Sołtyków — nawiązywała się tradycja Stanisławowska. Przechowałem dobrze we wspomnieniu oryginalną jego sylwetkę, więcej może dzięki plastycznemu *facsimille* mojego stryja, który mimicznie go odtwarzał, niż temu, że widywałem go dzieckiem, jak sunął rynkiem w archaicznym popielatym cylindrze, stercząc ogromnym nosem — i bodaj na rusztowaniach Panny Marji, której komitetu odnowicielskiego był prezesem. Nie przypominam go sobie natomiast na tle wiejskiej jego rezydencji, w sąsiadującej z naszym Wadowem Ruszczy, tak jak sobie przypominam tam jego, o równie charakterystycznej powierzchowności, brata, arcybiskupa warszawskiego Wincentego. Ostatni raz widziałem pana Pawła na łożu śmierci, kiedy szeptał nad moją głową słowa niedosłyszalnego dla mnie błogosławieństwa, utrwalonego później na papierze przez córkę jego Zofję.

Drugim co do rangi, ilości, wystawności przyjęć, domem szlacheckim był za czasów mego dzieciństwa dom Romanów Michałowskich z Dobrzechowa w t. zw. pałacu Larysza na placu Franciszkańskim. Roman Michałowski, potomek starej podkrakowskiej rodziny, która wydała m. in. malarza Piotra, piastującego wysokie stanowiska w Wolnem Mieście, miał za żonę Marję Koźmianównę, siostrę znanego publicysty i dyrektora teatru Stanisława, a wnuczkę Kajetana, pamiętnikarza i poety pseudoklasycznego. Zarówno więc przy kądzieli jak przy mieczu Genjusze i Muzy zagnieździły się były w tym domu. Sekret doskonałej kuchni, przystojnej zasobnej szlacheckiej fortunie, dawał okazję do wesołych sympozjonów, w których pani domu, *se piquant de philosophie*, lubiła dyskutować z Ojcem Pawlickim o Senece i otwierać istne konkursa biesiadne na temat, który z jej gości więcej ma rozumu i kultury. W domu tym chowało się dwóch synów: starszy, Władysław, wysławiony świeżo piórem „Boy'a“, gospodarował później w rodzinnym Dobrzechowie, młodszy, Józef, sekretarz ambasady naszej przy Watykanie, a później Kwirynale, fundator bibljoteki rzymskiej Polskiej Akademji Umiejętności, dużą, dziedziczną od pokoleń, odznaczał się kulturą.

Nawiasem tylko w tym związku wspomnę o domu Wodzickich, zrosłym z Krakowem od XVII-go bodaj wieku tylomaż tradycjami, co rodzina Michałowskich. Nawiasem, gdyż — pomimo społecznego i politycznego stanowiska swoich członków — nie zaznaczał się ród ten w życiu intelektualnem Krakowa, które przedewszystkiem mnie tu interesuje. Ale niesposób pominąć jednego z tych Wodzickich, „hrabiego Tonia“, słynnego polityka galicyjskiego, o którym taką opowiedziano mi anegdotkę: Przyszedł do N. K. N'u w sierpniu 1914 r. poprzez linje bojową czy kraj neutralny, numer warszawskiego „Kurjera Porannego“ (*quantum mutati ab illo)* z pierwszem wypowiedzeniem się filo-ententowem najwybitniejszego z przewódców obozu narodowego. Czytał ten wywiad Wodzicki i oburzał się przytem mocno ze stanowiska lojalności prohabsburskiej, poczem odłożył dziennik, w głowę się podrapał i, zastanowiwszy się chwilkę, zakonkludował: „Łajdaki, łajdaki, ale dopiero koniec wojny okaze (hrabia szeplenił nieco), kto właściwie są łajdacy: my cy oni“.

Inna znowu rodzina „skrakowiała“, a mianowicie Moszyńskich, świeciła blaskiem rozległej kultury. Wywodząc się od Piotra, którego postać na jednym z najpiękniejszych swoich portretów uwiecznił był Matejko, męża, zamieszanego w spiski przeciwrosyjskie i płacącego za nie Sybirem, który odegrał piękną później rolę w dobie Wolnego Miasta, a w roku 1863 starszego syna oddał na ołtarz ojczyzny, ród ten za moich czasów rozrodził się w Krakowie głównie po kądzieli, podczas gdy syn Piotra, Jerzy, zdolny, ekscentryczny, namiętny publicysta mieszkał stale w Sandomierskiem, skąd nawałą broszur bombardował stale opinję galicyjską. Z córek Piotra Moszyńskiego najwięcej bodajże uroku miała pani Marja, żona Zygmunta Pusłowskiego, znawcy sztuki i bibljofila, równie, choć inaczej jak ona, wytwornego i wyrafinowanego. Zamieszkiwali państwo Pusłowscy wraz ze synami urocze i ślicznie urządzone *villino* na ulicy Kolejowej (dzisiaj Andrzeja Potockiego); inna córka Piotra Moszyńskiego dała życie poecie Rostworowskiemu.

W żadnym względzie nie mogę się w tych odległych wspomnieniach silić na kompletność, przyjdzie mi zatem przegląd domów krakowskich w tym okresie zamknąć na domu babki mojej Morawskiej przy ulicy Basztowej, „pod św. Józefem“. Dom ten kwitnął w latach 1889 — 1895, po przeniesieniu się babki mojej z rodzinnego Poznańskiego do Krakowa, a życie w nim towarzyskie pielęgnowane było starannie, zwłaszcza przez intelektualne latorośle rodziny.

K. M. MORAWSKI

[1]) Niesie wieść starodawna, że ojciec rodu Popielów pożarty został przez zgłodniałe myszy. Dzisiaj, niczem zęby mysie, żrą nas ostre troski, niemniej mężowie mądrzy stawiają opór twardym losom. A gdy ze starego Krakowa nic niemal nie zostało, kwitnie przecie blaskiem dawnym stary ród Popielów.

NA WIDOWNI

Temat dla historyków cywilizacji, nie tylko dla polonistów. — Literatura, dzieje narodu i jego geografja. — Fredro i Żeromski jako wykładniki kultury.—Klasyczna równowaga między podmiotem i rzeczą.—Stąd pochodzi realizm naszych czasów?—Nie trzeba wstydzić się rozumu.

W OSTATNIM zeszycie krakowskiego „Przeglądu Powszechnego" (lipiec, sierpień) Stefan Kołaczkowski, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, rozpoczął bardzo interesujące studjum p. t. „Osobowość i postawa poetycka Fredry". Uderzy tam każdego czytelnika twierdzenie, że dzisiejsze poczucie literackie (gust literacki) „czyni nam bliższym w tej chwili Fredrę, niż np. Żeromskiego". Każda epoka — mówi Kołaczkowski — ma swój „antyk", to znaczy urządza renesans poecie, który zdawał się być zapomnianym.

Kołaczkowski jest zdania, że nam dzisiejszym podoba się artystyczna etyka Fredry, polegająca na zastosowaniu do twórczości takich cnót, jak umiar męski, moc ograniczania się i zawsze trzeźwość. Podoba nam się we Fredrze, że umiał przezwyciężać w sobie rozlewność (wybuchową gadatliwość) romantyczną i traktować temat z energją męską (iż mu się nie rozłaził i dobrze był zawsze skonstruowany) i że wyrażał swoje myśli przedmiotowo.

— — — — — — — — — — — — —

Nie trudno pojąć, o co chodzi w tem rozróżnieniu. Stefan Żeromski — pomimo wszystkie pozory ultra-męskości — był typowym romantykiem. A podstawa wobec życia czysto podmiotowa, pełna nieposkromionego entuzjazmu lub ciągłego na wszystko narzekania, to wielkie rozgadanie na temat nastrojów osobistych, nie dających żadnego rzeczowego oparcia dla wyobraźni czytelnika, skazanego przez to na dzielenie losów z autorem, niespokojnym, kapryśnym, nieraz histerycznym, — wszystko to już się przejadło.

Nie wiem, do czego dojdzie w swojem studjum Kołaczkowski i nie mam zamiaru wchodzić w jego temat, ale warto się zastanowić nad tem zestawieniem Żeromski-Fredro.

Fredro pochodzi przecież z czasów wczesnego romantyzmu, współczesny był Mickiewiczowi. Ale romantycy go nie lubili: dosyć przypomnieć, co o nim napisał S. Goszczyński w r. 1835, odmawiając mu talentu i praw poety. Zestawienie Żeromskiego z Fredrą rzuca skośne światło na cały wiek XIX i nasuwa pytanie, czy w walce romantyzmu z klasycyzmem przyczyną waśni i zajadłości był tylko kanon estetyczny, czy też wchodziły w grę różnice kultury, czy nie było tam przypadkiem zagadnienia: wschód i zachód. Goszczyńskiego (wówczas 1835) do pasji doprowadzała francuszczyzna Fredry, silne oparcie się o wzory literatury francuskiej, drażnił go humor i dowcip komedjopisarza.

Goszczyński i humor! Francuz przy swoim objektywiźmie zawsze był i jest klasyczny i zawsze ma humor. Pisarz słowiański, a za słowiańskiego chciał uchodzić Goszczyński, zawsze jest romantyczny i nie ma nigdy humoru.

— — — — — — — — — — — — —

Widzimy z tego, że nad różnicą estetyczną (literacką) bierze górę w tem oświetleniu zagadnienie rasy, raczej stopnia kultury duchowej wogóle. Na ziemiach polskich ścierały się nie same formy literackie (klasyczne i romantyczne); coś bardziej głębszego było pod spodem: ścierały się dwie postawy psychiczne Polaka, dwa style człowieka, dwie kultury. Jeden styl — to sarmatyzm stylizowany po romańsku, a drugi styl zasadniczy to sarmatyzm ze wschodu, dostatecznie przez cywilizację romańską niedoprawiony i bardzo wrażliwy na wpływy ze wschodu. Na czem to niedoprawienie polega? Sarmatyzm wschodni nie jest jeszcze dostatecznie opancerzony i zorganizowany wewnętrznie przez rozum, jako władzę naczelną w rzeczach twórczości. Dla tego nie jest nigdy dość realny.

Francuzi i wogóle ludzie starej kul ury romańskiej na zachodzie, są bardziej objektywni, trzeźwiejsi, opanowani, lubią posługiwać się w sztuce pojęciami konkretnemi, lepiej władają swojemi nastrojami i wogóle swoim materjałem artystycznym. Ich kompozycje są dlatego lepiej budowane i zwięźlejsze. Ponieważ są wewnątrz opanowani i patrzą na świat spokojnie i trzeźwo, mają możność zestawiania rzeczy wielkich z małemi i widzieć śmieszności. Dla tego mają humor. Lepiej obserwują i lepiej budują, przez to łatwiej im radzić sobie z najtrudniejszym rodzajem twórczości literackiej — komedją i dramatem.

— — — — — — — — — — — — —

Na rozwój literatury polskiej w XIX w. decydujący wpływ musiał wywrzeć podział polityczny Polski po traktacie Wiedeńskim 1815 r.

Największa część Polski znalazła się pod rządami i wpływem Rosji. Ta dzielnica, a nie inna, mogła odtąd nadawać postawę i kierunek literaturze. Okoliczność ta zapewniła przewagę romantyzmowi i długie trwanie. Romantyzm najbardziej rozkwitł na kresach wschodnich, a potem przez odbicie od emigracji oddziaływał na umysły w innych dzielnicach. Do dnia dzisiejszego subjektywny sposób tworzenia (na „jakoś-takoś") jest u nas jeszcze w modzie, przerodzony w barok. Nie tylko w literaturze, ale nawet w życiu politycznem pretenduje on do roli kierowniczej. Przecież „piłsudczyzna" ma oparcie w tej postawie romantycznej umysłów klasy oświeconej, postawie utrwalonej przez polonistykę w szkołach galicyjskich

Literatura mocno się splata z życiem, żłobiąc ślady trwałe w kulturze duchowej. Żeromski był romantykiem i swym żywiołem uczuciowo nastrojowym, pomimo zawładnięcia metodą naturalistyczną, przepajał poglądy i dążenia socjalistyczne, dalekie od romantycznego idealizmu. W miarę jak poznawał świat zachodni, męczył się na rozstajach polskich, w środku przełamany.

I on i my, czytając go, nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wielki wpływ wywierała na niego dusza wschodu.

Fredro należał do tej grupy ludzi czołowych w Polsce, którzy w czasach napoleońskich myśleli nie o geście romantycznym na rzecz Polski, ale rzeczowo myśleli o jej odbudowaniu państwowem. Legjony włoskie, walka z Austrją za Księstwa Warszawskiego, walka o Pomorze i Gdańsk, nawet pochód na Moskwę — to było postawienie karty na los Francji, to było poczucie, że tylko w oparciu o zachód i morze, w spojeniu z dzielnicą Wielkopolską, byt Polski może być ocalony. Były to czasy klasycyzmu polityoznego, nie tylko litera-

ckiego. Były to czasy renesansu ducha polskiego. Skromniejsze w zdobyczach literackich, tworzyły zdrowe zręby państwa polskiego Przewodzili w tej twórczości szary literat Wybicki i gen. Dąbrowski, obaj z zachodu Polski. Z nich ród wiedzie Fredro.

— — — — — — — — — — — —

Sto lat, od r. 1830, panowały w największej dzielnicy Polski rządy literatury wschodnio-romantycznej i w piśmiennictwie i w polityce. Czemże były powstania, jak nie pięknemi, krwią pisanemi poematami martyrologicznemi? Wojna wprowadziła do świata polskiego fakt, z którym się musi liczyć i literatura i postawa życiowa,—fakt niepodległego państwa. Weszła w bezpośrednią, naoczną dotykalną rachubę rzecz sama, o którą przecież i klasykom i romantykom chodziło. Duch pols i pracuje wewnętrznie, nie bez walk, nad dojściem do równowagi. Rzecz wreszcie dobywa się ponadnią, ponad frazes sentymentalny i barokowy, zdobywa dla siebie uwagę i respekt. Polska operuje już nie marzeniem, lecz konkretem. Przychodzą czasy nowego realizmu.

Umysłowość powszechna pojęła cenę rzeczy posiadanej, rozumie już, że w twórczości chodzi nie o pozę, gest i frazes, lecz o to, żeby rzecz tworzona była, stała dobrze na nogach i miała trwałość wieczną.

Jest tu wskazanie i dla sztuki. Niech będzie skromna w ubraniu, ale niech będzie rzeczowa, silnie, po męsku stawiana i zwięźle. Niech operuje konkretami, niech rzecz dobywa się na pierwszy plan, pozostawiając twórcę z jego kłopotami duchowemi i nastrojami bez treści — za sobą. Niechaj Polak się nie wstydzi, że rozum jest pierwiastkiem ważnym jego rasy cywilizacyjnej, zachodniej.

Ponieważ taka staje się dzisiaj postawa duchowa pokolenia oświeconego (a to ją zbliża do ludu lepiej niż romantyzm), więc i Fredro staje się nam droższy.

Jest to znak renesansu polskiego, nie tylko Fredry.

ZYGMUNT WASILEWSKI

Czek na P. K. O. nr. 3.105, dołączony do numeru niniejszego, przypomnieć ma odbiorcom „Myśli Narodowej", że zbliżył się termin regulowania przedpłaty na kwartał IV.

Wydawnictwu bardzo zależy na akuratności w odnawianiu prenumeraty. Zaległości, tak łatwo się wytwarzające przy lekceważeniu terminów, przyczyniają niemało kłopotów wydawnictwu, opartemu jedynie na dochodzie z prenumeraty.

Pisma ideowego, który wyzwala myśl z ucisku „ciężkich czasów" na szersze horyzonty i ducha dodaje, nie można uważać za zbytek. Ono jest w obecnych warunkach tem potrzebniejsze, a drobna kwota prenumeraty znikomo budżet obciąża. Lud wiejski, rzucający hasło oszczędzania na tytoniu i alkoholu, na lepszej jest drodze, niż inteligencja, oszczędzająca na czasopismach i książkach.

A więc skupiajmy się około ognisk życia ideowego i spomagajmy je, aby płonęły wysoko.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydana w dużym nakładzie przed paru miesiącami książka Romana Dmowskiego „Świat powojenny i Polska" jest już w tej chwili w handlu księgarskim całkowicie wyczerpana. Jak się dowiadujemy, zarządzono nowe wydanie. Należy go oczekiwać we wrześniu.

*

Na zjazd b. wychowańców szkół kieleckich, który się odbędzie w dn. 6 września w Kielcach, zgłosił niezwykle interesujący referat znakomity historyk, profesor uniwersytetu poznańskiego, Kazimierz Tymieniecki. Tytuł referatu: „Związki ziemi kielecko-sandomierskiej z Bałtykiem". Koło Kielczan, które daje inicjatywę zjazdu, wydało w związku z tem bardzo ładny tom „Pamiętnika Koła Kielczan" za lata 1930/31. Tom ten (i poprzednie) nabywać można w cenie 6 zł. przez księgarnię Gebethnera i Wolffa w Warszawie. „Pamiętnik", pragnąc wydobyć na jaw wszystko, czem się pochlubić może szkoła kielecka, dał na początek pięć portretów uczonych kielczan na katedrach, oraz ich biografję i bibljografję. W ostatnim roczniku wyróżnieni w ten sposób zostali: 1) technolog Karol Taylor z Polit. warsz., 2) Ludwik Szperl prof. chemji w Pol. warsz., 3) Stanisław Glixelli prof. chemji w uniw. poznańskim, 4) Edward Taylor, prof. ekonomji w uniw. poznań., 5) Kazimierz Tymieniecki, prof. historji w uniw. poznańskim.

*

Organ reprezentacyjny polskiej kultury umysłowej, „Pamiętnik Warszawski", nad którego kolebką pochylały się głowy ministrów i otwierały się trzosy Funduszu Narodowego, szuka teraz psalmistów wśród wyznawców Starego Zakonu. Józef Wittlin, pisujący jednocześnie kawały w „Cyruliku Warszawskim", ogłasza w „Pamiętniku" rozmowę swoją z Bogiem.

Boże poranków, zmierzchów i wichury
Ojcze niebieski!
Ja Józef Wittlin, z pokolenia Judy,
Staję przed Tobą...

Wymieniając po kolei przedmioty żywe i martwe, które mają Boga chwalić, nie zapomina o ludziach:

„Bądź pochwalony po polsku, po niemiecku, po francusku, po arabsku, po hebrajsku, po chińsku"

(to wszystko jeden wiersz), a wreszcie:

„Niech bocian Twoją chwałę zaklekoce 19 marca każdego roku".

Czyżby o swoich imieninach przypominał tak delikatnie Panu Bogu? P. Józef Wittlin ma też swoje ziemskie przywiązania, nawet polityczne, nie zapomina o doczesności.

Przypomina się legenda żydowska o rozmowie Mojżesza z Jehową.

— Wieczność to tylko chwila...
Mojżesz się zastanowił: „chwila, hm":
— Panie Boże, pożycz mi sto dolarów — na chwilę.
— Za chwilę — odrzekł Jehowa.

Wolelibyśmy, żeby w literaturze polskiej Bóg chwalony był po polsku i z potrzeby serca.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W wydawnictwie, poświęconem wszechstronnemu przedstawieniu dziejów Francji od roku 1870 do obecnej chwili (trzecia Rzeczpospolita), ukazała się książka p. t. *„L'Opinion et les Moeurs"* (Opinja i Obyczaje"), napisana przez Jules Bertaut, znanego publicystę i historyka obyczajowości francuskiej. W dziele tem autor, uwzględniając zmiany polityczne, jakie zaszły we Francji w ciągu sześćdziesięciu lat, przedstawia kolejne przeobrażenia obyczajów w związku z głównemi prądami opinji publicznej. W pracy swojej autor korzystał w miarę z bogatego materjału anegdotycznego, dla lepszego oświetlenia rozmaitych nastrojów i fluktuacyj w opinji oraz dla charakterystyki obyczajów danej epoki. We wnioskach ostatecznych autor utrzymuje, że przekształcenia Paryża od r. 1871 są niczem w porównaniu ze zmianą obyczajów, jaka nastąpiła w tej epoce. Ci, co pamiętają czasy drugiego cesarstwa, mogą — powiada autor — poznać te lub inne zakątki miasta, które były im znane w okresie ich dzieciństwa, nie mogą wszakże połapać się wśród uczuć, idej oraz sposobów bycia panujących dzisiaj.

Wielka zasada rządząca powyższą ewolucją, to — przyśpieszone tętno życia społecznego we wszelkich jego objawach. W związku z tym galopem życia, epoka współ-

czesna zaznacza się powszechną niestałością — w polityce, w moralności, w życiu ekonomicznem i t. p. Rysem znamiennym ostatnich czasów, jest — podług autora — przystosowanie się Francuzów do tak zmienionych warunków bytu, pogodzenie się, bez żywszego protestu, z tem co wstrząsnęło ich życiem. Tego rodzaju usposobienie przypisuje autor małoduszności i zblazowaniu. Czasu wojny i w okresie powojennym, ulegało się tak często rozmaitym wstrząśnieniom, że już dzisiaj żadna zmiana nie zadziwia współczesnego Francuza, tembardziej, że obecnie cała jego uwaga skupia się na jednym punkie mianowicie: na pieniądzu i środkach zdobywania go. Życie Francuza jest wytężone w tym kierunku, a to, co niegdyś stanowiło jego wdzięk, znika powoli. To wszystko jednak można powiedzieć o innych społeczeństwach Europy powojennej—na co i sam autor zwraca uwagę — tylko gdzieindziej życie nie odznaczało się takim wdziękiem, nie było tak urocze, jak we Francji. (W. J.)

*

H. Massis, autor wielu cennych studjów literackich („*Jugements*", „*Défense de l'Occident*", i t. p.) wydał ostatnio książkę p. t. „*Evocations*". Jest to pierwszy tom „Wspomnień" autora, od 1905 — 1911 r., w których, na podstawie własnych przeżyć, mówi on o wielu wybitnych jednostkach (A. France, M. Barrès i t. p.), pod których urokiem stało ówczesne młode pokolenie, a także o walkach tegoż z ludźmi i prądami, reprezentującemi podówczas oficjalną naukę i panujący system wychowania.

Bardzo ciekawie przedstawiony tu został zatarg młodego pokolenia z Sorboną, w którym Massis odegrał wybitną rolę, był on bowiem razem z Tardem, pod pseudonimem Agathona, autorem książki „*L'Esprit de la nouvelle Sorbonne*", która, w swoim czasie, dużo krwi napsuła rozmaitym „mistrzom" Sorbony. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

„GRAFIKA", zeszyt VI, kwiecień — maj 1931 r. Treść: F. S. „Kurs grafiki prof. Jana Wojnarskiego w Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie", Jan P. „Oficyna florencka Tyszkiewiczów", St. M. Sawicka „Drzeworyt ludowy ze zbiorów hr. Branickich w Suchej", Wiktor Podoski „Ekslibrysy Stanisława Chrostowskiego", J. M. „Nowoczesne ogłoszenia", R. N. „Prawidłowy chwyt czcionek przy składaniu", W. Stonawski „Bugra — pałac przemysłu graficznego na targach w Lipsku", Adam Półtawski i Tadeusz Gromowski „Wzory układów drukarskich", Kronika i Ilustracje.

Artykuł naczelny ostatniego zeszytu „Grafiki" zaznajamia nas z kursem grafiki Krakowskiej Akademji. Jak wynika z treści, oraz załączonych ilustracyj, młodzież podwawelskiego grodu hołduje przeważnie technikom metalowym, zwłaszcza akwaforcie i jej odmianom; drzeworyt, zrzadka uprawiany, traktowany jest szeroko.

Kurs założony przez Pankiewicza, od 1914 roku prowadzi Jan Wojnarski. Profesor poleca uczniom kopjowanie arcydzieł sztuki czarno-białej, dla zapoznania się z techniką. Niektóre z załączonych prac wykazuią duże zalety kompozycyjne lecz pozatem nie odznaczają się niczem szczególnem.

Dr. St. Sawicka podaje dokładny opis bibljograficzny drzeworytu ludowego ze zbiorów w Suchej, wraz z charakterystyką dzieła. Rycina jest rzadkim okazem ksylografji o treści świeckiej.

Wiktor Podoski pisze o ekslibrisach St. Chrostowskiego, podkreślając ich główną zaletę: znakomite zharmonizowanie się ze światem, w jakim przeznaczone im jest istnieć— książką. Artykuł zdobi siedm dobrze wykonanych reprodukcyj z ekslibirsów drzeworytniczych.

Jan P. informuje nas, zamieszkałych w kraju, o, nie wszystkim jeszcze znanej, oficynie florenckiej Tyszkiewiczów. Autor stara się wytłumaczyć dlaczego Tyszkiewicze wybrali właśnie Florencję, lecz jego wywody więcej zawierają w sobie poezji, niż słuszności. Wybrali, bo tak im się podobało, a pracować można wszędzie, tak samo w gwarnym Paryżu, jak i w zacisznej Florencji. W pracy drukarskiej Tyszkiewiczów, opartej na słusznych założeniach, najwięcej, jak dotychczas, należy podziwiać zapał szlachetny i miłość uprawianego rękodzieła; rezultaty nie pozbawione są pewnego dyletantyzmu, który zapewne z czasem zniknie.

Niezmiernie aktualne i ciekawe zagadnienie nowoczesnych ogłoszeń (w pismach) porusza autor, oznaczony pod artykułem literką L., a w spisie rzeczy — J. M. Nie dość jasno jest tylko postawiona sprawa estetyki tego działu sztuki drukarskiej. Na początku czytamy: „Forma ogłoszenia wypływa z jego użyteczności, a nie z estetyki sztuki drukarskiej". Dalej: „W kształtowaniu dynamicznem ogłoszenia mamy zupełną swobodę, ogranicza ją j e d y n i e cel użyteczny, ku któremu zdąża". A na końcu: „Zecer jednak musi się kierować dobrym kulturalnym smakiem, który mu nie pozwoli na grube barbarzyńskie zestawienia kolorów — na zmieszanie czcionki gryzącej się krojem, na dziwaczne przekształtowywanie powierzchni, nie posiadające r y t m u i t. d."

Aha, więc jest jednak jakaś estetyka i to dosyć wyraźnie zaznaczająca swe prawa. Może tylko pojęcia o tem co piękne, a co brzydkie uległy przemianie — sztuka użytkowa to zawsze połączenie piękna z użytecznem inaczej słowo „sztuka" nie miałoby tu nic do roboty.

Byłoby dobrze, gdyby do tak aktualnego i ciekawego tematu redakcja „Grafiki" jeszcze powróciła.

Załączone wzory układów graficznych, przy chęci nowatorstwa, nie zawsze odznaczają się dobrem wyczuciem współczesności.

W drugiej części zeszytu jak zwykle — dział techniczny i kronika z wiadomością o jubileuszu Ignacego Łopieńskiego.

*

Wystawione u Baryczków ryciny pochodzą ze zbiorów Bibljoteki Polskiej w Paryżu, znajdującej się, jak wiadomo, pod opieką Krakowskiej Akademji Umiejętności. Bibljoteka została założona przez emigrację w roku 1838-ym. Złożyły się na nią dary prywatne. Początkowo była też instytucją prywatną, istniejącą oficjalnie (wobec rządu francuskiego) pod nazwiskiem Czartoryskich. Z głównych ofiarodawców, w dziale rycin, wymienić należy: wojewodę Macieja Wodzińskiego, który dał kilkanaście tysięcy egzemplarzy, Generała Kniaziewicza (1.200) i Montalembert'a (około 2.000 sztuk). W 60-tych latach dokonano pierwszego spisu szczegółowego. Roku 91 — 93 oddano zbiory Akademji Umiejętności, której pierwszym delegatem był p. Franciszek Pułaski. W latach 1927 — 28 pracowała w Bibljotece dr. Stanisława Sawicka, która cały zbiór rycin uporządkowała i skatalogowała. Obecnie zbiór zawiera 17 tysięcy grafik obcych i przeszło 6.000 polskich. Z tego do Warszawy przysłano 1280, a wystawiono 900 najciekawszych. Po wystawie cały zbiór jedzie do Krakowa. Niestety, jednak Akademja dla pomieszczenia tak licznego kompletu grafiki odpowiedniego lokalu nie posiada, wobec czego zbiory czeka los niewesoły. W. P.

ZMARLI

Ś. P. BOHDAN SZYSZKOWSKI

W KRAKOWIE zmarł profesor chemji fizycznej na uniwersytecie Jagiellońskim, Bohdan Szyszkowski. Zmarły odznaczał się rozległą wiedzą i pozostawił bogatą spuściznę naukową. Urodził się na Ukrainie. W Kijowie odbywał początkowe studja, poczem wyjechał zagranicę. W Lipsku pracował w laboratorjum prof. Wilhelma Oswalda. Po powrocie do Kijowa kontynuował pracę naukową z zakresu elektrochemji. Jego praca o działaniu soli obojętnych cytowana jest w każdym niemal podręczniku chemji fizycznej.

W czasie wojny prowadził wykłady w polskiem Kolegjum uniwersyteckiem w Kijowie. Przebywał też jakiś czas w Szwecji, przygotowując pracę p. t. „O zastosowaniu w chemji teorji J. J, Thomsona budowy atomów i cząsteczek".

W roku 1919 został powołany na katedrę zwyczajną chemji fizycznej uniwersytetu jagiellonskiego. Był członkiem korespondentem Polskiej Akademji Umiejętności, prezesem Polskiego Towarzystwa Chemicznego.

Mało kto wie o tem, że ś. p. B. Szyszkowski był dobrym znawcą literatury, zwłaszcza Słowackiego i głębokim myślicielem. W czasie wojny, w Kijowie, kiedy miał więcej czasu, napisał parę godnych uwagi studjów o twórczości Słowackiego. Drukował je w dzienniku „Przeglądzie Polskim" (wydawca St. Zieliński, redaktor Zygmunt Wasilewski). Praca jego p. t. „Godzina myśli Słowackiego" ukazała się w nr. nr. 75, 77 i 78 z czerwca, oraz 96 i 97 z lipca 1918 r. Drugie studjum: „Genezis z ducha Słowackiego", drukowane było w nr. nr. 111, 112, 116 i 118 z sierpnia tegoż roku.

OFENSYWA

LITERATURA U JUDOSŁOWIAN

W STYCZNIU r. 1926 Leon Szyller świetny reżyser, bawiący się przekornie także w ideowego komunistę (nieco za berlińskiego stempla) wystawił w Warszawie swoje bajeczne „Pastorałki". W Pastorałkach tych dał też i tradycyjnego rabina. Na jednym z pierwszych już spektakli wywołało to ordynarną awanturę. Tłumnie zebrane na sali Sziksy z Krochmalnej i Mopsy z Kapucyńskiej zaprotestowały i domagały się usunięcia: rabina. Tumult żydostwo wszczęło taki, że rabina musiano z pastorałek wycofać.

Kiedy w Warszawie w Operze dają tradycyjną „Żydówkę" i Eleazar zaczyna ryczeć „Przeklinam was Chrześcijanie"! bywało, że zrywały się oklaski i brawa z galerji. Tak znowu Sziksy, Mopsy i Chaluce manifestowały swe ukontentowanie. I to było wolno. Rabina w „Pastorałkach" pokazać nie wolno.

Żydów dawać na scenie lub w powieści wogóle i w szczególe obecnie nie wolno. Nie ma jeszcze odnośnych przepisów co do tego, ale jest nieprzyjęte, nie godzi się, nie wypada i to byłby *bad business* kiepski interes. To też nasi obecni, pożal się Boże „wielcy" pisarze unikają tematu żydowskiego jak djabeł święconej wody. To jest temat nietykany i nietykalny bo piecze i mógłby zdepopularyzować autora. To też wyszukują sobie najegzotyczniejsze „tworzywa" i tereny, byle tylko jak najdalej być od kwestji żydowskiej. Ten w Grenlandji, tamten w Marokku, ten w Paranie, tamci dadzą nawet powieść krakowską, warszawską, pomorską, górnośląską, wojenną, wojskową, lotniczą... ale żydów w tem nigdzie ani na lekarstwo. W rzeczywistości jest ich w Polsce 13%, w literaturze i dziennikarstwie, w dyplomacji, w rządzie, w Sanacji, w „Elicie" będzie omal 49 procent, a tymczasem w powieści i na scenie 0,01%. Dzieje się to z tego powodu przedewszystkiem, że żydowska inteligencja obecnie omal jedyna wyłącznie podpiera byt agonizującej, zamierającej literatury, książki jeszcze kupuje i do teatru niekiedy zachodzi. Dalej dzieje się to z tego powodu, że polscy pisarze o życiu i współżyciu z nami Żydów nie mają najmniejszego pojęcia i żadnego wyobrażenia wyrobić sobie nie usiłują. No a wreszcie służalstwo potędze i paniczny strach, żeby się nie narazić sferom miarodajnym dyktatorskim, które przed żydowstwem to klęczą na oba kolana, to leżą pokotem.

A tymczasem w Europie Zachodniej i Wschodniej jest wprost przeciwnie. Nie tylko żydzi jako pisarze, beletryści i dramatyści są *en vogue*, ale żydzi jako *sujet*, jako temat. Nie mamy tu na myśli utworów tendencyjnie antysemickich, które są przeważnie drugiej lub trzeciej sorty, ale zwracamy uwagę na produkcję *par excellence* literacką o gruntownych walorach artystycznych. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że tych utworów na język polski ani się nie tłomaczy ani ich nie wydaje, ani na scenie nie gra. Maffia miarodajna i nasza giełda literacka nie dopuszcza tych papierów na rynek. Przyswaja się polszczyźnie moc rzeczy przemijających i bezwartościowych a utwory z typami żydowskiemi przeważnie się omija i przemilcza. Weźmy najprzód produkcję francuską. Tyle grało się utworów Bernstejna a nie grano np. jego „F e l i k s a", który po 20 latach znów wznowiono na scenie „Gymnase", sztukę w której dużo prawdy żydzi mówią o żydach. Nie grano Donnaya: *„Le Retour de Jeruzalem"*, też po 30 latach teraz wznowiony. Nie grano dużym sukcesem cieszącej się antybolszewickiej fantazji Pierre Mc Orlana: *„La ChevaliereElsa"*. Z powieści nie tłumaczono kilka utworów „Gypa" ani pani Rachilde, ani Jacoba Levy: *„Les Demi-Juifs"* ani Claude Anet; *„Quand la terre trembla"* ani Pierre de Maziere: *„Les Amants de Penelope"* ani Lecache'a (Frauensteina): *„Jacob"*, ani Carco „Izrael w Ziemi Świętej", ani Marie Durand *„O mon Jid"* powieściowej odpowiedzi na Sary Levy: *„O mon Goy"*, ani kilku żydowskich powieści braci Tharaud lub Kessela.

W angielskiej i amerykańskiej produkcji literackiej już jednak coraz odważniej i bezwzględniej dotykany i analizowany bywa problem żydowski. Nie mówiąc już o H. Bellocu (specjaliście) lub zdeklarowanym antysemicie G. K. Chestertonie, którego bardziej mocne w tonie powieści starannie omijano dla tłomaczenia polskiego. Już i Galsworthy (*Loyalties)* i Beresford (w kilku utworach) i Sinclair Lewis *(Sam Dodsworth)* i Sherword Anderson („Zły Śmiech") dają śmiało negatywne i destruktywne egzemplarze izra-elity w swych powieściach. Ostatnio na polskie przetłómaczono *„The Scapegoata"* pod tytułem „Ahasver", powieść marokańską zbliżoną przez swój naczelny typ „bohatera" Izraela ben Oliela, okrutnika i sadysty do niemieckiej powieści Liona Feuchtwangera *„Jud Süss"* i jej bohatera żyda Oppenheimera, też demonicznego gnębiciela Aryjczyków, aroganckiego okrutnika w Schylokoskim typie.

W nowszej literaturze węgierskiej mamy Dezyderego Szabo: „Zapadłą Wieś", Kobosa „Wychodzców z Ghetta", Hatwanyego (żyd): „Lud" i szereg powieści Sandora Brody; także ani jedna nie tłómaczona na polskie.

Z literatury italskiej obiecano na jesieni wyjście z druku słynnej i tłómaczonej na różne języki powieści Pucciniego: „Ebrei".

Z duńskiej wreszcie przetłómaczono i wydano z świetnym wstępem Wasylewskiego Pontopiddana przepyszną wiwisekcję judaizmu p.t. „W czepku urodzony".

Z sowieckiej dzisiejszej literatury dotychczas nie raczono przetłómaczyć na polskie i żaden Kaden wstępem nie opatrzył: Lwa Gumilewskiego: „Sobaczy Piereułok", Łowcowa: „Trust Szmuglerów", Siergiejewa: „Groza", no i wprost świetną powieść Sergiusza Małaszkina: „Księżyc z Prawej" z kapitalnymi typami żydowskim Jeraisza Czużaczka i Tanji Arystarchowej. Tłómaczy się paryskiego emigranckiego blufistę i blagiera Landaua („Ałdanow") portety-kicze politycza nie gra się np. świetnej „Łapowki" wystawionej w Leningrodzkim teatrze a potem zakazanej i zdjętej z afisza z powodu zbyt antyjewrejskiej tendencji, nie licującej z ideologją... Gosizdatu.

Jak więc widzimy z tego najpobieżniejszego szkicu cały globus, cały świat, cała ludzkość się budzi i emancypuje z hegemonji i suggestji żydowskich, przeciera oczy i zaczyna sobie uświadamiać niebezpieczeństwo judaizacji, dechrystjanizacji i materjalistycznego zezwierzęcenia, do którego pcha ludzkość demon panjudaizmu.

Leżą przedemną tłómaczenia: Sergjusza Małaszkina, bolszewika i Sinclaira Lewisa Laureata Nobla. Dwie powieści „Moskala" i Amerykanina, obie z ostro ujemnymi typami semitów. Niebezpieczeństwo więc widocznie istnieje na obu półkulach a problem nabiera światowej doniosłości. Na destruktywną djaboliczną działalność *„the unrest of the world"* czy też *chosen people* zwracają już uwagę pisarze i takich narodów, gdzie procent żydów jest mikroskopijny (Danja, Italja).

My zaś nic. Dla naszych pisarzy i beletrystów 13% żydów w Polsce nie istnieje. Niema ani problemu ani kwestji żydowskiej. Idylla jak za czasów Orzeszkowej i Szymańskiego. Jankiel cymbalista, Meir Ezofowicz i Eli Makower. Niema supremacji żydów w polityce i w literaturze. Niema ani *assymulacji*, ani *assemilacji*. Niema tragedji małżeństw mieszanych. Niema Polaków przechodzących na judaizm. Niema lichwiarzy, ani handlarzy żywym towarem, niema moralnej i duchowej semityzacji naszej elity, niema bojkotu i pogromów katolików w Polsce. Ani Mendla Radomskiego (powieść Lecacha), ani Monetty Springer (powieść J. Levy) ani Sary Levy, opowiadającej o swoim „Goju", ani gojów utalentowanych piszących o swoich Sarach.

W Sowietach „Mołodaja Gwardja" wydaje powieść Małaszkina... W Polsce na taką powieść nie znalazłby się ani jeden nakładca! Do tegośmy dojechali.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Z książeczki „Aforyzmy wierszowane (Warsz. 1906)" wyjmujemy parę sentencyj. Autorem aforyzmów jest Ks. Biskup A. S. Krasiński (1810 — 1891).

Bez rządu naród byłby, jak ciało bez głowy;
Ale w rządzie panować duch ma Chrystusowy.

Perłami są narodu ludzie postępowi,
Z warunkiem, żeby byli na umyśle zdrowi.

Choćbyś, jak cedr Libański, głową sięgał nieba,
Szacunku nie wygrozisz, zasłużyć nań trzeba.

Gdy fałszerstwo pieniędzy liczy się do zbrodni,
To i fałszerze dziejów szubienicy godni.

Świętość prawa jest główną wolności podstawą:
Tam wolność, gdzie panuje nie siła, lecz prawo.

Rzecz to ludzka, że człowiek najzacniejszy zbłądzi,
Lecz tylko zły się prawem silniejszego rządzi.

Gdzie zły sternik, tam dobra pójdzie na dno nawa,
Gdzie urzędy w złych rękach, tam pod ławą prawa.

*

„Gazeta Polska" donosi: „W dn. 21 b. m. p. wojewoda Kostek-Biernacki odbył wizytację pow. nieświeskiego, przyjmowany na terenie całego powiatu e n t u z j a s t y c z n i e przez tłumy zebranej ludności... Późnym wieczorem w salach recepcyjnych zamku nieświeskiego ordynat nieświesko-klecki Albrecht Radziwiłł wydał obiad i raut n a c z e ś ć p. wojewody".

TREŚĆ: Kryzys gospodarczy w Polsce *J. Prusa* — Próby tworzenia rządu w listopadzie 1918 *M. Kiniorskiego.* — Kraków przed trzydziestu laty *K. M. Morawskiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Nauka i literatura — Ze świata sztuki *W. P.* — Zmarli. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.